



BIULETYN



KOŁA MIŁOŚNIKÓW DZIEJÓW GRUDZIĄDZA

KLUB „CENTRUM” SPÓŁDZIELNI MIESZKANIOWEJ

Rok XVII: 2019

Nr 6 (583)

Data odczytu: 13.02.2019 r.

Data wydania: 13.02.2019 r.

=====

1130. spotkanie

Wspomnienia Teresy Loewenau opracował Andrzej Sobolewski

Wojna oczami małej Tereski

Losy mojego taty a co za tym idzie całej naszej rodziny, powiązane były z jego dzieciństwem i młodością, i dlatego skrótowo wspomnę o nich na samym początku. Tata urodził się w 1903 r. w Gladbeck w Nadrenii w Niemczech, w dawnym zagłębiu węglowym. Rodzice mojego taty, którzy wyemigrowali tam za chlebem, pracowali w kopalni węgla, chociaż podobno nie byli górnikami. Kiedy tata miał kilka lat, jego rodzice zginęli w katastrofie budowlanej podczas jakichś uroczystości. Sierotą zaopiekował się brat taty wraz z jego żoną w Poczdamie.



Tereska z bratem w ogrodzie botanicznym w Grudziądzu 24.08.1941 r.

Opiekunowie umożliwili mu wykształcenie, a nawet zdał tam maturę. Później jako dorosły mężczyzna często korespondował z jednym z profesorów w liceum, co miało poważne znaczenie dla losów mojego taty, a więc i moich w czasie wojny. Do Polski tata przyjechał dopiero w wieku około dwudziestu lat. Najpierw przybył do poznańskiego, tam skończył jakiś kurs dla przyszłych pracowników firm żeglugowych. Otrzymał wtedy propozycję pracy w grudziądzkiej agenturze firmy Lloyd, bo Grudziądz był wtedy jednym z ważniejszych miejsc przeladunku towarów na Wiśle. Później dowiedziałam się, że była to firma Lloyd Bydgoski, a mój brat znalazł w przedwojennej książce telefonicznej zapis: „Sobolewski Bronisław, kierownik firmy Lloyd Bydgoski S.A. ulica Bracka 11”. Tata później opowiadał, że

w tym biurze zatrudnionych było trzech pracowników, a firma zajmowała się również ubezpieczeniami. Firma była właścicielem wielu barek, a przewożono na nich na

przykład tzw. towary kolonialne oraz zboże i węgiel. Tata miał swoje biuro na I piętrze nie istniejącego obecnie budynku na ulicy Brackiej 11 (obecnej Marcinkowskiego) położonego naprzeciw obecnego II LO. Posada była dobrze płatna, więc przy tym biurze mieliśmy wynajęte spore mieszkanie.

W sierpniu 1939 roku tata został zmobilizowany. Pokazywał później mojemu bratu jak wraz ze swoją jednostką wymaszerował z koszar przez nieistniejący obecnie most na Trynce w okolicach ulicy Filomatów. Jego oddział po ciężkich walkach znalazł się nad Bzurą. Tam tata został zasypany, po wybuchu w jego pobliżu bomby. Wrócił do Grudziądza po pobycie w szpitalu.

Mama na samym początku września w panice przed przybyciem Niemców zabrała mnie i mojego rocznego brata i zaczęliśmy uciekać na południowy wschód Polski. Pamiętam, jak jechaliśmy wozem ciągniętym przez konie wraz z innymi uciekinierami. Jednak wozami jechały tylko dzieci i matki z dziećmi, reszta dorosłych najczęściej szła pieszo. Zresztą my też często szliśmy pieszo. Pamiętam, jak we Włocławku zaczął się ostrzał, schowaliśmy się w bramie. Widziałam wtedy pierwszą ofiarę tej wojny. Żołnierz uciekający wraz z nami stał wtedy pod słupem ogłoszeniowym, i nagle zobaczyłam jak się osunął na ziemię. Chciałam do niego podbiec, ale mama mocno trzymała za rękę i nie puściła. Wytłumaczyła mi, że jak tam pobegeń też już nigdy nie będę się ruszała. Jak wyjechaliśmy z Włocławka ten widok ludzi zabitych był już codziennością. Kolumny cywilów pieszych i na wozach były nieustannie ostrzeliwane przez lotników niemieckich. Pamiętam do dziś, że samoloty latały tak nisko, że było widać pilotki i gogle pilotów. Jak nadlatywały samoloty, uciekaliśmy z wozu do lasu i na okoliczne pola. Po jednym z takich nalotów zgubiłam jeden z bucików. Ponieważ stopa bez bucika wkrótce zaczęła krwawić, przekładałam ten bucik raz na lewą, raz na prawą nogę. Po kilku dniach mama zdobyła skądś dla mnie drugi bucik, ale był dla mnie za duży. Pamiętam, że aby nie spadł mi z nogi, mama obwiązywała mi go jakimiś sznurkami czy paskami. Po jednym z nalotów zgubiłam się z moją mamą. Całe szczęście, że zaopiekował się mną jakiś podchorąży. Nosił mnie dalej na rękach. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazłam mamę, kiedy schroniliśmy się w jakiejś szopie przed kolejnym nalotem samolotów niemieckich. Pamiętam też, że dla mojego brata zabrakło czystych pieluch i podróżował z nami z gołą pupą. Następnym miejscem, które do dzisiejszego dnia tkwi w mojej pamięci był most w Modlinie. Most był zbombardowany, ale można było po nim przejść, tyle że po trupach koni. Obraz przedzierania się przez te leżące konie tkwi w mojej pamięci do dnia dzisiejszego. W końcu dotarliśmy do małej miejscowości w pobliżu Lublina. W tejże miejscowości niemieccy wojskowi zmusili wszystkich znajdujących się tam Polaków do patrzenia na egzekucję grupy Polaków. Nie chciałam patrzeć na te okropieństwa, ale pamiętam, że jakiś Niemiec nakierowywał mi moją głowę w kierunku miejsca egzekucji. Nie pamiętam za co ich powieszono, ale sceny z tej egzekucji śniły mi się jeszcze przez wiele lat, nawet kiedy byłam już dorosła. Późniejszych wydarzeń z tego miejsca nie pamiętam, bo zachorowałam na dyzenterię. Moja mama potem mi opowiadała, że byłam tak chora, że aż przez jakiś czas nieprzytomna. Byłam

w takim stanie, że mama myślała już o miejscu, gdzie mogłaby mnie pochować. Mama przelamała swoją niechęć i strach wobec Niemców i poszła do lazaretu niemieckiego, który był niedaleko. Tam ubłagała niemieckiego lekarza, żeby spórbował mnie wyleczyć. Okazało się że starania mamy i lekarstwa tego lekarza okazały się skuteczne. Lekarz w rozmowie z mamą spytał skąd jesteśmy. Jak dowiedział się, że z Grudziądza, powiedział, że następnego dnia jadą do Torunia i mogą nas zabrać ze sobą. Okazało się, potem, że zawiózł nas dalej, bo do Grudziądza, a nawet pod sam dom, w którym mieszkaliśmy. Z tej podróży pamiętam, że był to duży, elegancki samochód osobowy z otwieranym dachem, czyli kabriolet. Wywołało to podobno niemalą sensację wśród sąsiadów, tym bardziej, że był to samochód jak na tamte czasy bardzo rzadko u nas przed wojną spotykany.

Niedługo po powrocie ze szpitala w niewoli niemieckiej tata został wezwany na Gestapo. Okazało się, że powodem był donos pewnego niemieckiego pomocnika szypra barki. Ten Niemiec zaniósł na Gestapo list mojego taty sprzed wojny, w którym tata odpisał mu, że mieszkają w Polsce i powinien do niego pisać po polsku. Tata został aresztowany. Mama chodziła po niemieckich znajomych z prośbą o wstawienie za tatą, między innymi do pana Rozanowskiego (właściciela młyna) i Rotengera, który zajmował się handlem zbożem. Niestety oni i inni bali wstawić się za tatą. Mój dziadek napisał wtedy list do profesora taty z Poczdamu z prośbą o wstawiennictwo. Okazało się wtedy, że to wstawiennictwo odniosło pozytywny skutek i tata został zwolniony z aresztu. Ten pomocnik szypra nie dał jednak za wygraną i doniósł na gestapo, że mój tata ma żydowskie pochodzenie. Tatę znowu aresztowano, a mnie i mojemu bratu groziło wywiezienie do getta, a później do obozu koncentracyjnego, gdzie jak wiadomo szanse przeżycia były niewielkie. Podobno Niemcy wywozili grudziądzan z pochodzeniem żydowskim do getta we Włocławku. Tym razem zadziałał mój dziadek, który mając znajomości na poczcie skontaktował się z profesorem taty z Poczdamu, a profesor odnalazł w Niemczech metryki, które świadczyły, że przodkowie taty do jego babki włącznie nie mieli pochodzenia żydowskiego (dowiedziałam się później, że przedstawienia takich dowodów wymagały Ustawy Norymberskie). Dokumenty te dość szybko dotarły do grudziądzkiej placówki Gestapo i tatę zwolniono z aresztu. Mama później opowiadała, że oficer Gestapo powiedział jej, że donosiciel bardzo musiał tatę nienawidzić, bo bardzo trudno posądzić o pochodzenie żydowskie córkę (czyli mnie, bo byłam niebieskooką blondynką). Ten, który zadenuncjował tatę do Gestapo, po wojnie przysyłał nam z Gdańska paczki z żywnością, na przykład jakieś ryby. Tata zabraniał nam jeść żywność z tych przesyłek, bo wciąż nie mógł wybaczyć temu denuncjatorowi. Jednak ja z moim bratem niekiedy podkradaliśmy trochę tej żywności, bo chociaż już nie głodowaliśmy, ale w przysyłanych paczkach była żywność, którą na co dzień była niedostępna.

Niedługo potem tata został powołany do niemieckiego wojska. Pamiętam, że bardzo płakałam, że zabiją mi tatę. Jego jednostka stacjonowała w Lüneburgu. Tata niespodziewanie wrócił do domu po kilku tygodniach z innym kolegą z Grudziądza panem Łodygą. Okazało się, że przed badaniem lekarskim wypili wywar z tytoniu.

Lekarz stwierdził nadciśnienie tętnicze oraz szmery na sercu i w związku z tym niezdolność do służby wojskowej. Ciekawostką jest fakt, że później, aż do końca swoich dni nie chorował na serce. Dowiedziałam się później, że Niemcy po jakimś czasie zorientowali się w tym sposobie unikania służby wojskowej. Tych, którym udowodniono takie oszustwa, rozstrzeliwano.

Kiedy tatę wzięli do niemieckiego wojska, zachorowałam na szkarlatynę. Znalazłam się wtedy w dziecięcym szpitalu, który znajdował się w budynku u zbiegu ulicy Fortecznej i Podgórznej (po wojnie mieściła się tam szkoła podstawowa nr 9). W tamtych czasach była to choroba groźna dla życia, ale lekarzom udało się mnie z niej wyleczyć. Pamiętam, że pielęgniarkami tam były niezbyt sympatyczne niemieckie zakonnice. Pomimo że miałam wtedy około 6 lub 7 lat widziałam, że przy tych zakonnicach nie powinnam rozmawiać po polsku, bo będą się na mnie gniewały. W kilka lat po wojnie przypadkowo spotkałam jedną z dziewczynek leżących wtedy ze mną w tej samej szpitalnej sali. Wspomniłyśmy wtedy te niesympatyczne pielęgniarki.

W wieku 6 lat musiałam pójść do niemieckiej szkoły. Mieściła się w budynku obecnego II LO. Uczyła mnie tam nauczycielka Niemka o nazwisku Gerke. Była to sadystka, która biła dzieci zarówno niemieckie jak i polskie, ale szczególnie znęcała się właśnie nad dziećmi polskimi. Bałam się jej strasznie, i często uciekałam ze szkoły. Uciekałam nad Wisłę i chowałam się wśród bali drewna składowanych w okolicach portu drzewnego. Pamiętam, że prosiłam wtedy jakichś mundurowych tam pracujących, żeby mnie schowali, bo nauczycielka mnie bije. Na lekcjach często płakałam, a pani Gerke oznajmiła mojej mamie, że jej córka ma chorą psychikę i wymaga leczenia. Ponieważ już wtedy wiadomo było co Niemcy robili z tymi, co mieli zaburzenia psychiczne, mama schowała mnie na jakiś czas u znajomej, z zawodu akuszerki. Przyjaźniłam się wtedy z koleżanką, o imieniu Uli. To podobno jej tata, Niemiec, powiedział nauczycielce, że wysłano mnie na leczenie. Również podobno po jego interwencji ta sadystka przestała pracować w tej szkole. Jak wielkie groziło mi wtedy niebezpieczeństwo uświadomiłam sobie dopiero wiele lat po wojnie, kiedy dowiedziałam się o zbiorowym miejscu kaźni w Mniszku koło Grupy. Dowiedziałam się od pani Majewskiej mieszkającej w okolicach Bratwina, że bez wyraźnej przyczyny zamordowali tam jej trzynastoletniego brata, a zabrali go do miejsca kaźni w mundurku gimnazjalisty. Później dowiedziałam się od taty, że kiedy on uczył się w Niemczech, sadystyczne bicie dzieci było powszechne. Po tej sadystce uczyła nas inna nauczycielka, też Niemka, ale ją wszystkie dzieci bardzo lubiły. Pamiętam, jak pod koniec wojny wyjeżdżała z Grudziądza, płakałam za nią z żalu razem z koleżankami. Natomiast u tej mojej niemieckiej koleżanki bywałam często w domu i bardzo lubiłam tam chodzić, bo częstowano mnie tam jakimiś ciasteczkami. Jej tata pracował w jakimś urzędzie i chyba dlatego dla niemieckiego urzędnika jego rodzina miała inne przydziały żywności. Kiedy jej rodzina wyjeżdżała z Grudziądza uciekając przed Rosjanami, obiecała, że do mnie napisze. Niestety żaden list po wojnie do mnie nie dotarł, więc nie wiem jakie były jej dalsze losy. Niewykluczone, że tragiczne, ale być może listy nie dotarły dlatego, że kamie-

nica, w której mieszkałam wskutek zniszczenia została rozebrana, więc listy nie mogły do mnie dotrzeć. Nie pamiętam, żeby w jej mieszkaniu były jakieś znaki faszystowskie, ale był to raczej wyjątek w niemieckich mieszkaniach. Pamiętam jak byłam raz w innym niemieckim mieszkaniu, gdzie wokół dużego portretu Hitlera był zbudowany jakby mały ołtarzyk z dużą ilością kwiatów. Kącik z portretem Hitlera (coś w rodzaju ołtarzyka) był też w szkole. Pamiętam, że w dniu jego urodzin uczniowie musieli wycinać kwiatki z papieru i ozdabiać nimi ten portret.

Pamiętam też jak przechodziłam kiedyś z tatą w okolicach dzisiejszego Placu Wolności, Niemcy zagonili nas do oglądania wyburzania jakiegoś budynku. Tata powiedział mi, że była to żydowska synagoga.

Pamiętam, że na tym samym placu była księgarnia, a właściciel nosił chyba nazwisko Kriedte. Tata często tam ze mną chodził i kupował jakieś książki. Książek z tej księgarni zarówno w języku polskim jak i niemieckim mieliśmy w domu bardzo dużo, niestety niewiele ich się zachowało po zbombardowaniu budynku w 1945 r. Nie pamiętam czy w czasie okupacji były tam też książki w języku polskim, ale tata opowiadał mi, że właściciel tej księgarni nie był nazistą. Natomiast zagorzałym nazistą był jego syn, a za przyczyną jego doniesień wielu Polaków zostało aresztowanych, a później rozstrzelanych.

Po powrocie taty z wojny, kierowanie firmą Lloyd Bydgoski przejęli Niemcy (tata mówił mi, że mogli w niej pracować właśnie wyłącznie Niemcy). Oni też przejęli nasze mieszkanie na I piętrze, (my musieliśmy się przeprowadzić do mieszkania na trzecim piętrze). Pierwszy z nich o imieniu Emil był bardzo przyjazny, częstował nas nawet cukierkami. Następny z nich był zagorzałym nazistą. Ten Niemiec zagroził, że wyśle mnie do zakładu psychiatrycznego bo słyhać było w nocy moje krzyki i płacz. Był to skutek moich przeżyć z ucieczki przed Niemcami we wrześniu 1939 r. Rodzice umieścili mnie wtedy znowu u znajomej, z zawodu akuszerki, żeby mnie przed tym uchronić. Po tym wrednym naziście biurem kierował pan Chmielewski. Pamiętam, że tata chodził do niego doradzać w sprawach związanych z nowym stanowiskiem i zabierał mnie do jego mieszkania. Zapadło mi to w pamięć, bo częstowano mnie tam różnymi smakołykami. Ostatnio dowiedziałam się, że w czasie wojny majątek firmy Lloyd Bydgoski został skonfiskowany przez niemiecki Główny urząd Powierniczy-Wschód, i powrócono do nazwy z czasów pruskich tj. „Bromberger Schleppschiffahrt Aktiengesellschaft”.

Tata w czasie okupacji pracował w magazynie na końcu ulicy Dworcowej. Magazyn ten nazywał się chyba Butter und Eier. Tata był tam księgowym. Kierowniczką tego magazynu była pani Paczkowska, żona późniejszego trenera pływaków klubu Stal. Pamiętam, że pracował tam też pan Fojucik.

Pamiętam, że u sąsiadów u państwa Bińkowskich radio schowane było w piecu, i słuchano z niego audycji z Londynu. Po jakimś czasie musieli je wymontować, bo dowiedzieli się, że Niemcy robią rewizje w mieszkaniach. W czasie tych rewizji przeszukiwali nietypowe miejsca jak dziecięce łóżeczka i właśnie piece.

Z czasów okupacji niemieckiej w Grudziądzu utkwiły mi w pamięci przemarsze

miejscowych oddziałów Hitlerjugend. Maszerowali oni w rytm werbli po ulicach w swoich krótkich spodenkach, a przechodnie musieli witać ich hitlerowskim pozdrowieniem. Pamiętam, że podczas jednego z takich przemarszów moja mama nie wyciągnęła ręki w hitlerowskim pozdrowieniu. Wtedy to jeden z maszerujących podbiegł do mamy i uderzył ją w twarz tak mocno, że zachwiała się i uderzyła o ścianę budynku.

Pamiętam, jak w okolicach dzisiejszej Alei 23 Stycznia przy pogłębianiu kanału Trynka pracowali jeńcy wojenni. Jeńcy angielscy byli dobrze traktowani, można było z nimi nawet rozmawiać. Chociaż nie znałam angielskiego, to okazało się, że język angielski i niemiecki są na tyle podobne, że drobna wymiana zdań była możliwa. Możliwa była też drobna wymiana żywności. Natomiast nie było absolutnie dostępu do jeńców rosyjskich, bo byli bardzo dokładnie pilnowani przez strażników. Pamiętam też, że obóz jeńców rosyjskich był w okolicach obecnego osiedla Lotnisko. Do dzisiaj pamiętam, że byli bardzo wychudzeni, praktycznie szkielety w łachmanach, tak wychudzonych ludzi nie widziałam przez cały okres okupacji. Podobno do jedzenia dostawali tylko małe porcje gotowanej brukwi. W swojej dziecięcej naiwności wymyśliłam sobie, że mogę im pomóc. Ponieważ przemycenie chleba, a nawet kromek chleba przez ogrodzenie z siatki było niemożliwe, w swojej dziecięcej naiwności wymyśliłam sobie, że będę przemycać za płot chociaż małe kawałki i skórki od chleba. Udawałam, że zbieram kwiatki, zbliżałam się coraz bliżej płotu, i wtedy próbowałam wetknąć niepostrzeżenie przez siatkę skórki chleba. Czy udało się któremuś z jeńców te skórki znaleźć, to pytanie nurtowało mnie jeszcze długo. Pewnego dnia pod koniec okupacji kiedy tam poszłam, tych jeńców tam już nie było.

Chodząc do niemieckiej szkoły bardzo szybko nauczyłam się mówić po niemiecku, i dlatego rodzice i ich znajomi często posyłali mnie po zakupy. Żywność kupowało się wtedy na kartki. Miałam bardzo ładne długie blond włosy i niemieckie ekspedientki traktowały mnie jako typową niemiecką grzeczną dziewczynkę. Dawaly mi często dodatkowo cukierki, a nawet zdarzało się, że na przykład parówki. Chodziłam też po cukierki do „Łojka”, który miał swój sklep na obecnej ulicy Toruńskiej. Traktował mnie jako typową niemiecką dziewczynkę i dawał dodatkowe cukierki. Mogłam tymi cukierkami częstować inne dzieci. Najbardziej jednak smakowały mi tzw. sztangi, to znaczy lizaki w kształcie grubych ołówków. Po tych lizakach miało się usta i okolice ust w kolorze tej sztangi. Pamiętam, że sklep ten istniał w tym samym miejscu jeszcze kilkanaście lat po wojnie. W czasie wojny naprzeciw sklepu „Łojka” był też inny sklep z cukierkami, chyba pod nazwą chyba Glokona, ale tam nie miałam już takich względów. Pamiętam też, że chodziłam do młyna Rozanowskiego i handlarza zbożem Rotengera, żeby przynieść trochę niezmielonego ziarna. Niekiedy udawało się ubłagać pracowników młyna, żeby dali mi trochę ziarna zmielonego, ale nie przesianego (z otrębami).

Kiedy na początku 1945 roku wojska rosyjskie zaczęły bombardować miasto, całymi rodzinami chowaliśmy się w piwnicach. Piwnice miały wykute połączenia do piwnic w sąsiednich budynkach tak, że piwnicami można było przejść praktycznie

przez całą długość jednej strony ulicy, a nawet dalej, na inną, za skrzyżowaniem. Na dachu naszego domu Niemcy ustawili działko przeciwlotnicze, i dom w którym mieszkaliśmy stał się celem do rosyjskiego bombardowania artyleryjskiego, bo Rosjanie wtedy byli już na drugim brzegu Wisły. Bombardowały go również rosyjskie samoloty. Skutek był taki, że została po nim tylko część przedniej ściany, natomiast praktycznie wszystkie wewnętrzne ściany i stropy były zniszczone, aż do parteru. Zniszczenia były tak duże, że ta kamienica jako jedyna na tej ulicy nie została po wojnie odbudowana.

Na naszej ulicy stacjonowały jakieś oddziały z dywizji Hermann Goering i Hitlerjugend. Pewnego dnia przebywając w piwnicy usłyszeliśmy straszne strzelanie i bombardowanie. Jak ucichło bombardowanie i strzały, wyszłam wraz z innymi zobaczyć co się stało. Okazało się, że te oddziały zostały namierzone przez wojska rosyjskie stacjonujące już wtedy po drugiej stronie Wisły. Zostały po nich tylko porozrzucane szczątki ludzkie i końskie i kilku rannych. Pamiętam jak młodzi, a nawet bardzo młodzi ranni niemieccy żołnierze, krzyczeli z bólu. Pamiętam jak najmłodszy wzywał swoje mamy, a krzyki „Mutti” i szczątki ludzkie długo jeszcze śniły mi się po nocach. Rodzice opowiadali, że do byłego sklepu na parterze, gdzie mieszkali państwo Kreft, wpadł przez okno duży kawał mięsa. Stwierdzono, że kawał ten jest za duży na mięso ludzkie, a więc z pewnością jest koński. W tamtych dniach oblężenia zapasy żywności były już na wyczerpaniu i oczywiście ten kawał mięsa stał się posiłkiem dla mieszkańców tego domu.

Kiedy Niemcy byli już na przedmieściach Grudziądza, nie było co jeść, bo nie było już gdzie wykupić kartek żywnościowych. W magazynie, gdzie tata pracował, personel był głównie polski i kierowniczka magazynu zaczęła wydawać pracownikom towar. Pamiętam, jak tata wrócił pewnego dnia bardzo roztrzęsiony. Okazało się, że jego znajomy z magazynu pan Fojucik wraz ze synem został rozstrzelany przez Niemców w okolicach obecnej ulicy Wybickiego, bo znaleźli przy nich żywność z tego magazynu. Tata był świadkiem zdarzenia, jak inna, młoda pracowniczka tego magazynu, wychowanka państwa Gilginas z okolic ulicy Długiej lub Szewskiej też wiozła żywność na sankach, kiedy rozpoczął się ostrzał w okolicach obecnego budynku banku PKO. Tata opowiadał, że krzyczał, że ma paść na ziemię, jednak ona być może w ataku paniki biegła dalej, jakby chciała uciec przed ostrzałem. Niestety dosięgły ją kule lub odłamki i niestety nie udało się jej uratować. Tata roztrzęsiony opowiadał, jak musiał przekazać tę smutną wiadomość rodzinie.

Pod koniec walk o wyzwolenie Grudziądza zachorowałam na tyfus. Ponieważ nie można było zdobyć żadnych lekarstw, moje szanse na przeżycie były niewielkie. Moja mama z panem Kreftem, który dobrze mówił po rosyjsku, poszli po rosyjskiego lekarza z tymczasowego lazaretu, gdzie obecnie mieści się II LO. Lekarz ten przyniósł podobno spirytus wlewał mi go do ust małymi łyżeczkami. Wiem to z opowiadań rodziców, bo byłam wtedy nieprzytomna. W każdym razie kuracja była na tyle skuteczna, że wkrótce wyzdrowiałam. Po wyzwoleniu lekarz stwierdził u mnie anemię i zalecił picie świeżej krwi (za czasów okupacji dokument na taką kurację nazywał się „Bezuchschein”). Chodziłam pić tę krew do miejskiej rzeźni,

i pamiętam, że było to dla mnie okropne przeżycie, ale mimo moich protestów rodzice zmusili mnie do tej kuracji.

Pamiętam też jak jeden z rosyjskich żołnierzy coś robił młodej dziewczynie, a jej mama krzyczała i płakała błagając tego żołnierza żeby przestał. Mama szybko mnie stamtąd zabrała i nie chciała mi powiedzieć co ten żołnierz tej dziewczynie robił. Świadomość, że był to ohydny gwałt na oczach matki przyszła dopiero wiele lat później.

Ponieważ dom, w którym mieszkaliśmy już do tego celu się nie nadawał, przenieśliśmy się, do domu na ulicy Rybackiej po stronie od fabryki. Niestety po niedługim czasie cały ten dom został zajęty przez jakichś rosyjskich wojskowych wyższych szarżą i musieliśmy się przenieść do mieszkania w budynku po drugiej stronie ulicy. Mieszkając na tej ulicy codziennie spotykaliśmy się pewnym młodym żołnierzem rosyjskim o imieniu Sasza. Pilnował on fabryki przy wjeździe od ulicy Rybackiej. Dawał nam codziennie coś do jedzenia, najczęściej trochę chleba. Pamiętam jak mówił, że gdyby coś stało się moim rodzicom, weźmie nas po wojnie do swojej wsi. Bardzo go polubiliśmy, a kiedy pewnego dnia od innego żołnierza dowiedzieliśmy się, że razem ze swoim oddziałem pomaszerował na Berlin, bardzo z bratem za nim płakaliśmy. Pamiętam, jak mój brat po wojnie kiedyś powiedział, że Sasza chyba zginął na wojnie, bo inaczej chyba by nas odwiedził. Oczywiście nie musiało tak być, bo Rosjanie po wojnie po prostu nie mieli swobody podróżowania. W każdym razie długo jeszcze nurtowało mnie pytanie co się z nim stało?

Latem 1945 roku mama zachorowała na tyfus i została zabrana do szpitala, który już wtedy znajdował się w okolicach obecnej ulicy Sikorskiego. Dzieci uczęszczające do szkoły otrzymywały co jakiś czas jajka. Wymyśliłam w swej dziecięcej naiwności, że mama wyzdrowieje, jak zje jajko. Poszłam z moim bratem pod budynek szpitala, żeby dać to jajko mamie. Jednak jak podsadzałam brata do okna, żeby to on podał mamie to jajko, Niestety się stłukło. Byłam zrozpaczona, i postanowiłam, że zdobędę jajko dla mamy i dla mojego brata, który jeszcze nie chodził do szkoły i przydział jajek mu nie przysługiwał. Sprawa nie była prosta, bo w mieście panował głód. Podczas wałęsania się po mieście w okolicy obecnej Alei 23 Stycznia znalazłam w gruzach po jakiejś hurtowni trochę paczek budyniów i przypraw. Pamiętam, że miały napis Knorr, a więc renomowanej firmy istniejącej do dzisiaj. Postanowiłam wymienić te paczki na jajka we wsiach po drugiej stronie Wisły. Przeprawiłam się z moim bratem przez most pontonowy na drugą stronę Wisły i tam chodząc od gospodarstwa do gospodarstwa próbowałam dokonać wymiany. Niestety nie udawało nam się to i tak doszliśmy daleko od miejsca, gdzie były przeprawy łodziami. Zmęczeni położyliśmy się odpocząć w przydrożnym rowie. Przejeżdżała wtedy tą drogą ciężarówka z rosyjskimi żołnierzami. Ciężarówka się zatrzymała i oficer zapytał co my tu robimy. Od rosyjskiego żołnierza pilnującego fabryki HV, z którym się zaprzyjaźniłam nauczyłam się trochę po rosyjsku. Najpierw więc po rosyjsku, a później po niemiecku, bo oficer ten doskonale mówił po niemiecku, opowiedziałam mu, że jesteśmy dziećmi polskimi i wybraliśmy się po coś do jedzenia. Wtedy każdy z żołnierzy z tej ciężarówki dał

nam coś do jedzenia, a był to nie tylko chleb, ale też smalec i jakieś cukierki podobne do landrynek. Odwieźli nas przez most pontonowy, aż pod sam dom. Po jakimś czasie sytuacja bytowa trochę się nam poprawiła, bo tata znalazł pracę w Milicji Wodnej.

Pewnego dnia odbywała się defilada jakichś oddziałów rosyjskich. Mój dziadek ubrał się w pelisę, to znaczy w płaszcz podbity od wewnątrz futrem i futrzanym kołnierzem, żeby powitać wyzwolicieli. Ponieważ długo nie wracał, rodzina poszła go szukać. Mama dowiedziała się od świadków tego zdarzenia, że został wyłowiony z tłumu jako burżuj, następnie uwięziony, w końcu wywieziony na Syberię. Całe szczęście po jakimś czasie wrócił. Pamiętam, że jak wrócił miał bardzo spuchnięte ręce i nogi. Pozwolił mi włożyć palec w opuchniętą nogę i rękę, i pamiętam, że skóra długo nie chciała wrócić do poprzedniego stanu. Dziadek opowiadał mi, że pracował w kopalni i przeżył tylko dlatego, że jako niepalący, wymieniał papierosy na żywność. Prawie nikt z palących nie wrócił do kraju. Opowiadał też, że wywieźli z nim powracającego z obozu koncentracyjnego innego, powracającego do miasta mieszkańca Grudziądza, pana Pilata, a wywieźli go w obozowym pasiaku i z obozowym kocem. Niestety nie doczekał on powrotu, bo zmarł dziadkowi na kolanach w czasie powrotu w pociągu w Działdowie, czyli już bardzo blisko domu. Podobno syn pana Pilata mimo tych wydarzeń był później jakąś ważnym urzędnikiem w którymś z PRL-owskich ministerstw. Dziadek opowiadał też, że Polacy byli traktowani przez Rosjan gorzej niż Niemcy. Pilnujący ich Rosjanie mówili: „do was Polaczków nie będziemy strzelać, bo i tak zdechniecie z głodu”.

W drugim mieszkaniu na ulicy Rybackiej były bardzo trudne warunki. Przede wszystkim było ono pełne pluskiew i przez długi czas nie mogliśmy sobie poradzić z tym problemem. Poza tym sanitariaty były poza mieszkaniem, osobno na klatkach, a mieszkańcy wyrzucali nieczystości często po prostu przez okno na skarpe wiślaną. Tata po kilku miesiącach znalazł inne mieszkanie na parterze budynku przy ulicy Aleja Wojska Polskiego pod numerem 72. Najpierw jednak z własnych środków musiał naprawić sufit tego mieszkania przedziurawionego przez bombę. Tam mieszkałam, aż do wyjścia za mąż.

Niemcy przerwali mi sielankowe dzieciństwo, które miałam przed okupacją. Czas okupacji i ten bezpośrednio po niej były bardzo trudne. Cudem przeżyłam ucieczkę we wrześniu 1939 roku z Grudziądza. Groziło mi wraz z tatą i bratem wywiezienie do getta. Niewiele brakowało, aby zabrakło mi na zawsze taty wskutek działań wojennych. Mogły się zdarzyć najgorsze konsekwencje z powodu niemieckiej nauczycielki sadystki. Trzy razy byłam bliska śmierci z powodu choroby. Jednak to, że żyję, zawdzięczam kilku porządnym Niemcom i Rosjanom. Pomimo zdziczenia towarzyszącego okresowi wojny, znaleźli się również wśród Niemców i Rosjan ludzie, którzy byli dla mnie przyjaźni, a niektórzy z nich bezinteresownie uratowali mi życie.



Tereska z bratem w ogrodzie botanicznym w Grudziądzu 24.08.1941 r.

Notatki

Notatki

(L.B.S.)

Redakcja: Tadeusz Rauchfleisch, Janusz Hinz. Logo KMDG wykonał Grzegorz H. Rygielski.